

Ponuro jest. Jest tak ponuro, że nawet Woody Allen w Ludowym smutny, jak kondukt w deszczu pod wiatr... Wtorek, świt, za parę godzin na krakowskich Błoniach wystąpić ma Ojciec Święty, a tu niebo ciemne, „kapuśniaczek” beznadziejnie siąpi i chyba prędko nie przestanie, świat doszczętnie moknie, płakać się chce i człowiek chętnie by sobie pochlipał, ale jakoś nie chlipie. Wczoraj cały dzień tłumaczyłem memu chrześniakowi Karolowi, że nie ma ludzkiej siły – nigdzie w Krakowie nie dostaniemy jego ulubionych lodów melba z naparstkiem ajerkoniaku, albowiem lody melba bardzo szkodzą zdrowiu, zaś konsumpcja samego ajerkoniaku, zwłaszcza

wać, skoro pan był na premierze i na własne oczy widział, że publika w zachwyty popadła, ludzie jak stado norek się obśmiali, że pogotowie trzeba było wzywać, bo 26 delikwentów boki sobie pourywało w uniesieniu, a Szanowna Pani Dyrektor Mach wstała przy finalnych brawach i aż podskakiwała, jak niegdyś na skakance! To mi Teatr Ludowy odpowie – i będzie miał świętą rację. Tak, ciupagi z podobizną papieża idą jak woda, nieobecność lodów melba z naparstkiem ajerkoniaku jest jak bułka z masłem, a ołowiany Woody Daniec zachwyca, jak uparty „kapuśniaczek”, jak sine niebo nad Błonią.

Nie mam więc racji – i wcale mnie to nie dziwi. Jak tu można

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Życie jest piękne

w takich ilościach, nie ma przecież najmniejszego sensu. Gówniarz nie dość, że w ogóle nie zrozumiał, co do niego mówię, to na dodatek mój dowcip, że mianowicie zamiast lodów melba z naparstkiem ajerkoniaku kupię mu pod Sukiennicami góralską ciupagę z gustownie wypaloną na rękojeści podobizną Ojca Świętego, wziął na serio, w związku z czym już do wieczoru spacerowałem po Rynku z ulubioną maskotką Janosika w garści. Nie jest dobrze, oj, nie jest. Mogłem wybrać szachy. „Kapuśniaczek” nie popuszcza, niebo ciemne jak ołów, o lodach melba należy zapomnieć do piątku włącznie, naparstka ajerkoniaku bez melby za chińskiego boga nie dostaniesz, z rękojeści wiszącego na ścianie podhalańskiego rarytasu eksportowego patrzy na ciebie papież, i jakby tego wszystkiego jeszcze zbyt mało było, artyści Ludowego bez pudła udowadniają, że Woody Allen osiąga czasami w dowcipie wyżyny lekkości identyczne z tymi, na jakie w końcówce postu Marcin Daniec zwykł wspinać się niezwykle śmiało. Ponuro jest. Jest tak do imentu ponuro, że człowiek chętnie by zapłakał, a śmieje się szeroko. Ja też.

Jak tu się szczerze nie radować, skoro jeden z najdowcipniejszych ludzi świata naraz okazuje się w swych dowcipach litym smutasem. Mimo wszystko jest coś budującego w fakcie, że nawet Woody Allen bywa rasowym grafomanem humoru. Oto Allan (Paweł Gędłek) rzuca się w celach konsumpcyjnych na spoczywającą w fotelu Lindę (Małgorzata Krzysica). Tłamszona Linda, w ferworze walki strąca nocną lampkę i zamiast co innego zaskowytać w uniesieniu, wprost do ucha Allana skowycze, żeby się nie martwił, że odkupi mu lampkę. Allan staje na wysokości zadania – *nie przejmuj się, dasz pięć dolców i nie ma sprawy*, szepcze. I to jest najwyższe wzniesienie, to jest ściśle Peak of Daniec, który Woody Allen w sztuce „Zagraj to jeszcze raz, Sam” zdobywa. Jak wiadomo, warto zajmować się tylko osiągnięciami wyjątkowymi, dlatego też inne wice Woody'ego Allena warto niniejszym przemilczeć, więc je przemilczę. Zresztą, czy przemilczę czy nie przemilczę – i tak przecież nie mam racji. Co mi powie Teatr Ludowy, gdy ja mu zasugeruję, że tę godzinę i kwadrans snujące się race humoru dobrze by jednak było zdjąć z afisza, bo wstyd lekki rozweselać lud ołowiem, co mi Teatr Ludowy odpowie na taką propozycję? – *Ależ jakże tu zdejmować* – odparuje mi z uśmiechem – *jakże zdejmować*, skoro pan był na premierze i na własne oczy widział, że publika w zachwyty popadła, ludzie jak stado norek się obśmiali, że pogotowie trzeba było wzywać, bo 26 delikwentów boki sobie pourywało w uniesieniu, a Szanowna Pani Dyrektor Mach wstała przy finalnych brawach i aż podskakiwała, jak niegdyś na skakance! To mi Teatr Ludowy odpowie – i będzie miał świętą rację. Tak, ciupagi z podobizną papieża idą jak woda, nieobecność lodów melba z naparstkiem ajerkoniaku jest jak bułka z masłem, a ołowiany Woody Daniec zachwyca, jak uparty „kapuśniaczek”, jak sine niebo nad Błonią.

Nie mam więc racji – i wcale mnie to nie dziwi. Jak tu można mieć rację, gdy chce się napisać – i to właśnie się pisze – że reżyser Tomasz Obara, który chwilę temu tak świetnie poprowadził siebie w monodramie według Bogosiana, tym razem żadnemu z aktorów nie miał kompletnie nic do powiedzenia, a jeśli nawet, to akurat nie to, co trzeba było mieć. Gędłek, grający główną postać tego romansu – bo to jest historyjka o miłosnych marzeniach biednego rozintelektualizowanego gryziopiórka – zajmuje się głównie surowym podawaniem wciąż kulejącego tekstu oraz liczy na swą skądinąd wyśmienitą komikę twarzy. Mówiąc krócej – z faktu, że istotnie podobny jest do Allena, Gędłek wysnuwa wnioszek, że wszystko jest w porządku, w związku z tym od początku do końca nic nie robi. Niewiasty – była żona gryziopiórka (Barbara Szałapak), wyimaginowane kochanki gryziopiórka, pojawiające się i znikające w jakowychś dymach (Agata Jakubik, Katarzyna Tłałka), wreszcie ostatnia jego deska ratunku, świeżo upieczona sąsiadka (Małgorzata Kochan), żeby już nie wspominać o rzeźzonej Krzysicy – wszystkie one pokazują jedno: jak sobie młode nadwiślańskie artystki dramatyczne wyobrażają granie na tzw. cieniutkim parodystycznym dystansie do postaci. Znowu krócej rzecz ujmując – grają kubłami. Tak właśnie się prezentują i nie bardzo wiem, na zasadach jakiego to niby cudu Janusz Sztybelowski jako wyjęty z „Casablanki” Bogart, a zwłaszcza Maja Barełkowska jako dziewczyna z muzeum, czyli katastrofa kobiecości, nieszczęście zakochane w awangardowej sztuce plastycznej, jak mianowicie tym dwojgu udało się dotknąć lekkości, bez której tego typu komediowe teksty z punktu zmieniają się w katastrofę nudy. Nie bardzo wiem, grunt jednak, że dotknęli, co i tak nie zmienia obrazu całości. Ponuro jest.

Jest straszliwie ponuro, czyli jest szalenie wesoło. Jest, jak zawsze jest. Mam rację, czyli nie mam racji, nie mam, albowiem rację mamy zawsze my. Święte ciupagi idą jak wielka woda, rodacy szaleją na widowni Ludowego. Melby z ajerkoniakiem słusznie nie będzie do piątku. Woody Allen bywa na poziomie Dańca. Obara jest, albo go nie ma. Ja chcę napisać do Sama, żeby się jednak zastanowił, czy raz jeszcze to zagrać, ale nie mam adresu. „Kapuśniak” nie popuszcza. Żyć, nie umierać. Bo pięknie jest.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy. Woody Allen „Zagraj to jeszcze raz, Sam”. Reżyseria i opracowanie muzyczne: Tomasz Obara. Scenografia: Maciej Preyer.



Paweł Gądek, fot. Tomasz Kempa

Pojedynek z Woody

Sięgnięcie po sztukę Woody Allena, która 30 lat temu święciła triumfy na Broadwayu, miałoby sens – komiczne zmagania nieśmiałego, zagubionego intelektualisty z kobietami mogą bawić i dziś. Miałoby, gdyby nie jedno „ale” – w 1972 roku sam Woody Allen zagrał w jej filmowej wersji wyreżyserowanej przez Herberta Rose. W konfrontacji z ekranowym wizerunkiem stworzonym przez autora i aktora w jednej osobie każdy odtwórca roli Allana musi nieuchronnie wydawać się kimś w rodzaju awaryjnego zastępcy.

Rola dublera Woody Allena nie bardzo powiodła się Kennethowi Brannaghowi w „Celebrity”, ostatnim filmie reżysera. Zaś mierzenie się z filmową wersją sztuki dokonane przez Tomasza Obarę na scenie Teatru Ludowego przypomina próbę samobójczą. Owszem, niektóre kwestie (choćby ta: „Mam 29 lat. Szczyt możliwości seksualnych miałem 10 lat temu” – w spektaklu niestety pozbawiona pierwszego zdania) przyprowadzą o chichot nie tylko wielbicieli brzydala z Nowego Jorku. Paweł Gądek (Allan) stara się nie szarżować

i wygrywać swoją vis comica. Jednak nawet jeżeli ktoś znajduje się w tak sprzyjającej – krakowskiemu reżyserowi i aktorom – sytuacji, że nie widział filmu, to i tak trudno mu się wciągnąć w kreowany na scenie świat: kompletnie nijaki, pozbawiony ciepła, stylu i rodzajowości oryginału, za to niebezpiecznie dryfujący w stronę farsy, co delikatnemu komizmowi sztuki nie może wyjść na dobre. Pozostają pojedyncze dowcipy, bronią się – choć też nie zawsze bawią tak jak powinny – tylko sceny ograniczające się do tzw. podsta-

wowych zadań aktorskich. Uśmiech wywołuje Janusz Sztydlowski, który w kłęczach dyumu, z lekką ironią podszywa się pod Humphreya Bogarta z „Casablanki”, czy Rafał Dziwisz, groteskowy pośrednik nieruchomości, w każdym nowym miejscu podający współpracownikom swój numer telefonu (nawet jeżeli w dobie telefonów komórkowych ten koncept staje się uroczo archaiczny). Jednak dlaczego reżyser każe neurotycznej Lindzie (Małgorzata Krzysica) epatować widzów kobiecością nachalnie wyeksponowaną koszmarnym kostiumem – pozostaje jego tajemnicą, a także dowodem złego smaku i braku oryginalności. Reżysera w ogóle bawi pokazywanie kobiet w lekkim dezabilu (pewnie wie, że w taki sposób wzbudzi aplauz u dziatwy szkolnej). I cóż z tego, że przy okazji i Woody Allenowi, i aktorom wbija nóż w plecy?

AGNIESZKA FRYZ-WIĘCEK

Teatr Ludowy w Krakowie, Woody Allen, *Zagraj to jeszcze raz, Sam*, przekład: Grażyna Dyksińska, Jerzy Siemasz, scenariusz i opracowanie muzyczne: Tomasz Obara, scenografia: Maciej Preyer, premiera: 12 czerwca 1999

16 czerwca 1999 r.

KULTURA

Premiera w Teatrze Ludowym

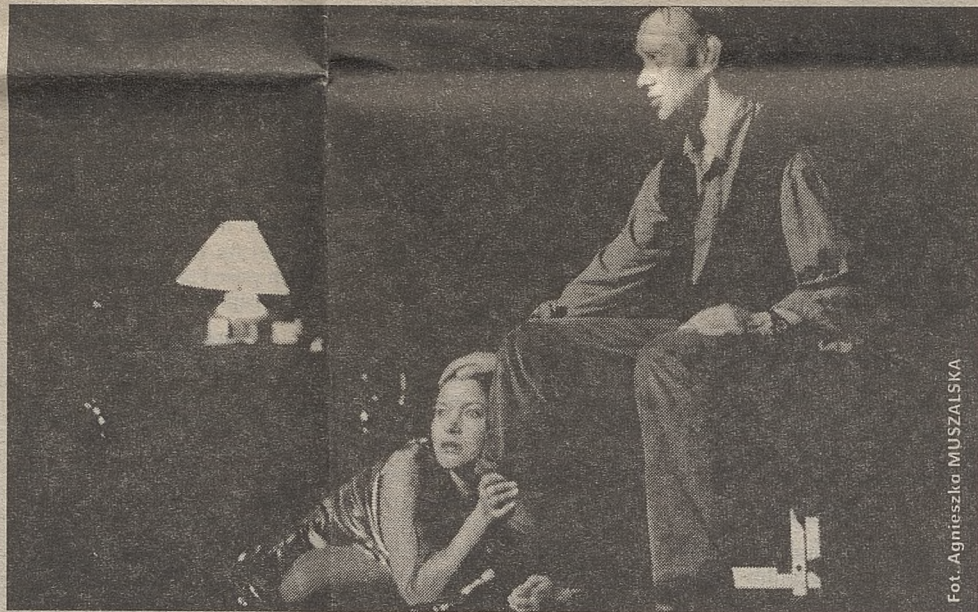
Przełącz to jeszcze raz, Sam

W ostatnim filmie Woody'ego Allena, zatytułowanym „Celebryty”, młody synek pyta głównego bohatera: — Tato, kto u nas w domu rządzi? — Oczywiście, że ja — odpowiada mężczyzna. — No, ale przecież decyzje podejmuje mama — stwierdza chłopiec z właściwą swojemu wiekowi dociekliwością. — Ale ja trzymam pilota od telewizora — broni się jak umie ojciec.

W sztuce Allena „Zagraj to jeszcze raz, Sam”, granej na nowohuckiej scenie Teatru Ludowego, zarówno trzymał pilota jak i decydował o wszystkim reżyser Tomasz Obara. Jego przeskakiwanie z kanału na kanał dało efekt tyleż śmieszny, co płytki niczym Raba po suszy.

Po pierwsze, reżyser naciągając pilota wybrał nie najlepszy tekst Woody'ego. Rozterki młodego intelektualisty (oczywiście okularnika), przeżywającego rozczarowania miłości, neurotycznego polykacza pigułek uspokajających, rozczulającego się nad sobą w sposób iście dziecinny, to schemat walkowany przez Allena aż do znudzenia. Tyle tylko, że coś, co sprawdza się w filmie, w teatrze niekoniecznie musi zagrać. Brak jakiegokolwiek napięcia, budującego całość, schematyczne postaci, stojące w miejscu akcja oraz to, że praktycznie o nic tu nie chodzi — to już dostateczne powody, by sięgnąć po pilota i zmienić kanał.

Grający safandulę-intelektualistę Paweł Gędek, wraz z okularami wdział maskę oczywistości, która po kilku minutach daje nam skończoną wiedzę o tej postaci. Nic dodać nic ująć: jest



Safandula-intelektualista w wykonaniu Pawła Gędki

śmieszny, bo taki biedaczek nieporadny, zrywamy boki ze śmiechu, bo takie robi fajne miny... Tylko po co? Oczywiście po to, by rozbawić publiczność. I jest. Bingo. Wszyscy się śmieją. Tylko na jaki temat?

Nie wiem. Może na temat amerykańskiej klasy średniej, z jej lobiemi i wyplakiwanymi na kozetce u psychoanalityka problemami? Bawiący się telewizyjnym pilotem reżyser, choć przeskakuje z kanału na kanał, gdzie trafia na różne filmowe konwencje i cytaty, jak choćby ten z „Ojca chrzestnego” nie ułatwia odpowiedzi.

Wyborem właściwego kanału było za to obsadzenie w roli Humpreya Bogarta Janusza Sztyrlowskiego, który zabawnie

parodiuje styl bohatera „Casablanki”, z nieodłącznym papierosem w dłoni i nie znoszącym sprzeciwu tembrem głosu. Śmieszna i konsekwentna postać stworzyła też Maja Barelkowska, grająca spotkaną w muzeum intelektualistkę. Jej egzaltacja sztuką współczesną, symbolizowaną tu przez białe płótna z czerwoną kropką, fatalne ubranie i na dodatek przekrzywiona charakterystycznie noga w bucie na wysokim obcasie czy mina sfrustrowanej życiem sobotniej samobójczyni jest wprost z allenowskiej bajki.

Czepiam się mankamentów tego spektaklu, choć znad komputera jakbym słyszała głos dyrektora Fedorowicza: „A co z młodą widownią, która

szalala niczym na koncercie rockowym? Czy to nie świadczy o potędze tego przedstawienia?” Być może. Ale warto się czasami zastanowić, czy rozbawka musi oznaczać intelektualną pustkę, służącą jedynie do wywoływania salw śmiechu. Bo jeśli tak to „Zagraj to jeszcze raz, Sam” można śmiało zestawić w jednym szeregu z Jasiem Fasolą, Benny Hillem, Flipem i Flapem i jeszcze kilkoma równie lekkimi rozśmieszaczami. Czy rzeczywiście o to chodziło?

Magda HUZARSKA-SZUMIEC

Woody Allen

„Zagraj to jeszcze raz, Sam”

Reżyseria: Tomasz Obara

Scenografia: Maciej Preyer

Premiera: czerwiec 1999